

Gospodarze na minihektarach

Jest ich w Wielkopolsce ponad 30 tysięcy. Pokończyli szkoły przysposobienia rolniczego lub zespoły PR, różne kursy kwalifikacyjne z zakresu mechanizacji, uprawy, hodowli, chemicznej ochrony roślin. Wielu z nich pełni funkcje radnych, sołtysów. Pracują na gospodarstwach, ale formalnie nie są właścicielami. Ich rodzice nie spieszą się bowiem z ustępowaniem pierwszego miejsca młodszej generacji. Niechętnie czynią to nawet wobec racji tak oczywistych, jak podeszły wiek, sterane siły, nadwątłe zdrowie. Działają na zarówno tradycyjnemu pojmowaniu autorytetu związanego z posiadaniem gruntu, jak i obawą przed łaskawym garnuszkiem.

Niezależnie jednak od subiektywnych postaw, działa w życiu nieuchronne prawo wymiany pokoleń. Z danych demograficznych wynika, że w ciągu najbliższych lat około 30 tysięcy indywidualnych gospodarstw rolnych w Wielkopolsce przejdzie w młode ręce. Przejmie je pokolenie różniące się zasadniczo od swoich ojców, spętanych więzami tradycjonalizmu, wewnętrznymi rozterkami, wahaniami, nieufnością. Młode pokolenie, wychowane w warunkach obecnej polityki rolnej, głębokich zmian w technice, metodach i organizacji produkcji, czerpie wzory i bodźce postępowania już nie tyle z miejscowej tradycji, co ze znajomości współczesnego życia w kraju i na świecie, z różnych źródeł wiedzy rolniczej, wybierając myślą daleko poza wiejskie opłotki.

Odmienność młodych zaznacza się wyraźnie, gdy obejmują we władanie gospodarstwa. Nie chodzi tu tylko o to, że zbierają zwykle więcej niż ich rodzice. Odmienność swą wykazują przede wszystkim w organizowaniu produkcji, w kształtowaniu profilu warsztatu rolnego o określonej specjalizacji. O jej wyborze decydują przesłanki czysto ekonomiczne: warunki naturalne, zasoby siły roboczej, potrzeby inwestycyjne, możliwości zbytu, zysk. Z obliczeń i przewidywań powstaje plan urzędzeniowy gospodarstwa na kilka lat. Każdy etap jego realizacji jest odmierzony spodziewanymi efektami w polu i zagrodzie. By zdobyć pieniądze (zwykle na gwałt trzeba coś budować, kupować maszyny) wyszukuje się intratniejsze uprawy. Kontraktacja staje się kluczem do kas z kredytami. Kółkowe maszyny uwalniają od najcięższych prac. Oszczędność czasu i robocizny staje się nakazem. Nie oszczędza się natomiast na nawozach, materiale siewnym i zarodowym, na ochronie roślin.

30 tysięcy młodych rolników to grupa duża, ale rozproszona, co osłabia jej siłę i wpływ na bieg wiejskiego życia. Nie doceniają jej też należycie działające na wsi instytucje, jak kółka rolnicze i organizacje spółdzielcze. Do typowych należy jeszcze zjawisko, że na zjazdach i konferencjach grupują-

Wielkopolska Tygodnia

ODDATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 273 22 I 1967 r. Rok VII

cych aktyw wiejski, wśród siwych głów trudno doszukać się kogoś, kto miałby mniej niż 40 lat...

A przecież młodzież wiejska stanowi obiektywną siłę społeczną postępujących w rolnictwie przemian. Dlatego Związek Młodzieży Wiejskiej podniósł problem młodych rolników do rangi jednego z najważniejszych. Szczególnie godną uwagi jest inicjatywa tworzenia klubów młodego rolnika. Działalność ich zmierza w dwóch zasadniczych kierunkach: zdobywania wiedzy na poziomie wyższym i bardziej wyspecjalizowanym niż w SPR i PR oraz przyswojenie młodym rzeczowej orientacji w złożonych problemach współczesnego rolnictwa, powiązane z instytucjami państwowymi i spółdzielczymi wieloma niemi formalno-prawnymi, podatkowymi, kredytowymi, kontraktacyjnymi, zaopatrzenia i zbytu. Na szczególną uwagę zasługuje ten drugi kierunek, stanowiący zasadniczą formę przygotowania młodych do demokratycznego współrzędzenia. Dzięki klubom coraz więcej pojawia się na wsi ludzi, którzy zasmakowali w rolnictwie, w gospodarowaniu z ołówkiem i książką w ręku. Cenią sobie oni zwłaszcza ukończenie szkoły, zdobycie świadectwa, dyplomu. Jest to swoista forma zamyślenia zawodowej odrębności gospodarza — rolnika, którego profesja nie jest ani lepsza ani gorsza od innych.

MŁODA ZMIANA PROSI O GŁOS

Wielkopolskie kluby młodych rolników znalazły sobie cennego mecenasa w postaci kadry terenowych punktów informacji podległych Rolnicznemu Rejonowemu Zakładowi Doświadczalnemu w Sielinku. Mecenas ten, zapoczątkowany w minionym roku okazał się niezwykle korzystny dla obu stron. Młodzież znalazła pomoc i opiekę w swojej pracy samokształceniowej, prowadząc wzajemnie tzw. „pola wdrożeniowe”, będące swoistym poligonem doświadczalnym badań naukowych Sielinka i jego oddziałów terenowych. Powtórzenie uzyskanych w skali laboratoryjnej wyników na setkach i tysiącach poletek poważnie przyspiesza tok prowadzonych badań, pozwala na szybkie wykrywanie i eliminowanie błędów oraz formułowanie obowiązujących w praktyce reguł i wskazówek w zakresie uprawy, nawożenia, hodowli itp.

Jednocześnie wyniki uzyskiwane na poletkach wdrożeniowych torują sobie drogę na szerokie pola. „Nie sztuka uzyskiwać takie plony na grządce; pokaż co zwojujesz na 10 hektarach” — powiadają swym synom sceptyczni ojcowie. Młodzi czekają tylko na taką okazję.

Rodzacy się w ten sposób eksperyment znajduje często swój finał w przekazaniu steru gospodarstwa w młode ręce.

Wymowa wskaźników jest jednoznaczna: Japonia sięga po czołowe miejsce pośród w soko rozwiniętych państw kapitalistycznych. Ale — jak to (12 bm.) stwierdził Jacek Grosz kiewicz na łamach „Trybuny Ludu” — tym bardziej rażąco przedstawia się dysproporcja pomiędzy japońskimi osiągnięciami w technice i produkcji, a jej społecznym zacofaniem, anachronicznymi stosunkami socjalnymi. I dlatego obraz

O CZEKI W A N I E

W bieżącym roku ukaże się w „Wydawnictwie Poznańskim” nowa powieść Gerarda Górnickiego „Ucieczka na obczyznę”. Poniżej drukujemy jeden z fragmentów tej powieści.

... Kiedy Niemiec przyszedł podpaść nasz dom, moja matka nie korzystała z żadnej rozpaczliwej broni kobiecej, nie krzyczała: „na pomoc, ratunku!”, nie domagała się żadnej litości. Siedziała na przyzbie, pod oknem, nad nią stał niemiecki oficer i czekała, nawet nie drgnęła na jego słowa, nie słuchała, co on mówił do niej, tylko patrzyła na grubą, twardą gałąź akacji podpierającą werandę naszego domu i kiedy ciemność zupełnie już nadeszła, jeszcze bardziej zniechęconą, zdębiała, nie poruszyła ani ręką ani nogą. Bolały ją plecy od siedzenia na glinianej przyzbie, ale czekała nie wiadomo na co, chyba na to, żeby ją ten Niemiec zabił pod ścianą skazanego na śmierć domu. Morzył ją sen, ale Niemiec nie pozwolił jej już wejść do domu, aby mogła się położyć na łóżku, bo czekał na rozkaz, aby w odpowiednim momencie zapalić dom świetlnymi pociskami wyrzelnymi z rakietnicy, nasz dom, który stał wysoko na skarpie, a zamieniony na pochodnię miał oświetlać drugi brzeg rzeki, rozległy, równy, więc moja matka widząc na co się zanoszą, nie zastanawiała się już nad tym, po co właściwie siedziała, bo mogła tak siedzieć do końca życia, a domu i tak nie uratuje. Całe życie tego domu stanęło jej nagle w oczach i wówczas dopiero wiedziała już na pewno, dlaczego siedziała, usłyszała nawet własny swój głos w sobie, bo głośno mówiła nie mogła, z Niemcem by się dogadać nie potrafiła, chyba na migi, a było już ciemno i trzęsła się trochę z zimna, a skoro od razu całe życie tego domu stanęło jej w oczach, więc mogła siedzieć tak i całą noc. Nie powiedziała do Niemca jednego słowa, ani się mu nie przyjrzała, zresztą on też na nią nie patrzył, tylko miał odwróconą twarz w stronę ulicy, prowadzącej do rynku, po której poruszały się bezszeltestnie jakieś cienie.

Tak upłynęło trochę czasu, aż w końcu zdecydowała się na jeden ruch; wstała, wyprostowała zdębiałe nogi i znów siadła. Tym widocznie obudziła czujność Niemca, bo zdecydował się on powiedzieć:

— Kaput.

Słyszała nieraz to słowo, sama go używała, gdy chciała krótko wyrazić swoją myśl, beznadziejną i ostatnią.

— Dobrze. Gut. Bardzo dobrze — przytaknęła głową.

Niemiec ruchem ręki starł z twarzy zmęczenie i chrypiącym głosem zapytał: — „was?”, bo nie mógł przecież zrozumieć, dlaczego moja matka godzi się na ten wyrok i nie chce odejść, jak gdyby dla niej nie skończyło się wszystko jeszcze. Cała dolina stała się wypelnionym ciemnością pustkowiem, nikt z nikąd nie nadchodził, w mieście nie było światła, ich twarze kryły się w mroku, milczenie znówu przeciagało się, moja matka przez moment miała wrażenie, że Niemiec poszedł sobie w swoją stronę, a on natomiast myślał, że moja matka zasnęła na przyzbie, ale nie, oboje nasłuchiwali, każde z nich wiedząc, czego się obawiać, bo to była wojna. Patrzyła na wysoką sylwetkę Niemca stojącego na podwórzu w rozkroku i dawno już, to znaczy od godziny rozumiała, że na nic się nie zda, gdyby się mu chciała przeciwstawić, on musi rozkaz wykonać, choćby miał tak stać przed domem jak najdłużej, ale pragnęła, żeby odwrócić się ta chwila palenia, w którą trudno jej było uwierzyć i czuć, że powinna go błagać o ocalenie, ale oczy ogarniały tylko beznadziejny smutek i wyczerpanie, zalewał całą twarz, chociaż zdawało się jej, że wszyscy — jej nieżyjący ojciec i matka i ludzie z sąsiednich Niebieszczań — mówili do niej naraz, żeby ratowała dom, ale coś w tej ciemności było nikczemnego, co podsuwało jej dziwne pytania, rozdzielił się w niej jakiś wątpliwość, chociaż nie mogła się godzić na to, żeby pragnęła z nienawiści wyrównania rachunku między nią a tym domem, w którym tyle złego przeżyła, żeby to było aż tak wielkie, tak okrutne, żeby rozciągało się ponad rozległym życiem tego domu i wtedy zaczęła nagle oddychać głośno, dźwignęła się z kucek, podeszła jakoś tak po omacku do płotu, przy którym stał Niemiec i zapytała go, czy nie wszedłby do domu i nie zjadłby coś, bo może jest głodny, lecz on nie powiedział, zdaje się nie pojmował o co jej chodziło. Wtedy zrozumiała, że to już ktoś zupeł-

nie obcy, bezwzględny wtrącił się w jej sprawę. Nie wiedziała jeszcze co z nią uczyni los, jeżeli prawdą będzie to, co mówił ten Niemiec.

Wokoło było cicho, jak maknem zasiał, potem w uszach jednak zadudnił daleki łoskot żelaza o ziemię. Niemiec rozejrzał się i napotkał od razu kościstą twarz Parylaka, który wyszedł zza węgla domu i przystanął pod białą ścianą. Patrzył przytomnie i od razu zrozumiał wszystko, albo wiadomość o tym, że Niemcy będą palić domy po tej, wschodniej stronie miasta, wywlokła go z jego rudery na Bośni, więc przyszedł się dowiedzieć co dzieje się z moją matką. Wtedy ona odtrąciła od siebie wszystkie złe myśli, a Parylak chwilę jeszcze odczekawszy instynktownie pod ścianą łowił w ciszy odgłosy życia oczekującej sądnego dnia naszej krainy. Gdzieś w prawej stronie, w czarnym paśmie godowskiego lasu obejmującego łukiem niebieszczańską dolinę, odezwali się pojedyncze strzały, na moście słychać było powolne kroki ludzi, od muru rzeźni odbiło się czasem dzwoniące uzbrojenia żołnierzy. W niewidocznych zabudowaniach za rzeką odezwał się pies.

— Tamci są już pewnie w Lutczy. Albo bliżej.

Niemiec popatrzył na Parylaka i wycelował powoli:

— Przyjdą bolszewicy. Dzisiaj w nocy. Zobaczą ich wkrótce jak za dnia na tych łąkach i polach. Poczekajcie, wojna nie jest tylko dla żołnierzy.

Na Wschodzie za linią wzgórz, tam skąd biegła niewidoczna w ciemności szosa sanocka, poczęły wytryskiwać na horyzoncie szeregiem świecące smugi pocisków i rozbiegały się na boki.

Niemiec jak gdyby ocknął się z zamyślenia, wyjął u kabury pistolet, rzekł do siebie:

— Coś tu nie gra. Ale musicie stąd uciekać.

— Ano, jak musimy, to musimy.

— Nikomu nie wolno zbliżyć się do ognia. Powiedz tej babie, żeby sobie już poszła.

— Powiada, że nie pójdzie.

— Wiem. Jest urata i głupia.

— Ona się modli.

— Jej modlitwy nie na wiele się zdadzą.

Parylak do mojej matki:

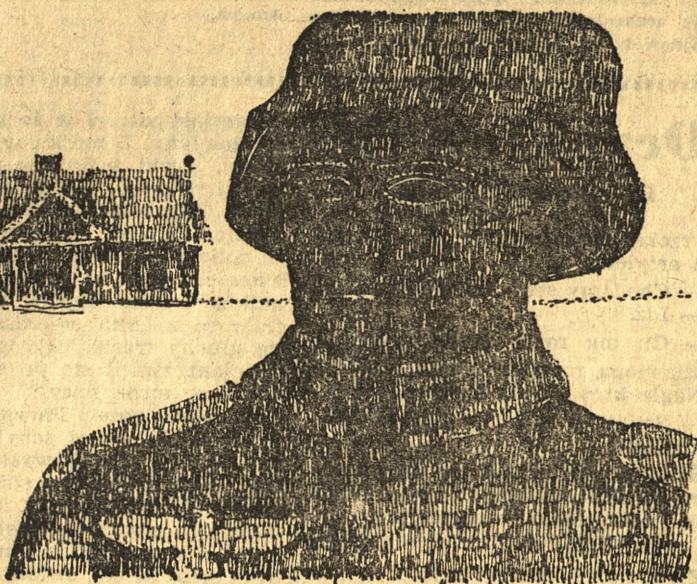
— Musimy stąd już iść.

— Nie mogę. Nie mam sił. Może zaczekamy, aż nabiorę więcej sił.

Moja matka spojrzała w stronę zbliżających się świetlistych kul. Parylak przemówił do niej:

— Ciężko jest rzucać swój dom i iść w świat. Nie masz dokąd iść. Trzeba dopiero takiej chwili, jak ta teraz, żeby pojąć, co to jest dom, do którego nie będzie mógł nikt wrócić, ani twój mąż, ani twój syn, ani ty sama. Nie pozabieracie się już razem w jedno. Wiele rodzin nie zbiera się po wojnie pod jednym dachem. Tak było zawsze, po każdej takiej wielkiej wojnie. Mówią w Niebieszczańach, że mój pradziad przyszedł tu ze Skandynawii podczas wojen szwedzkich...

— Nie gadajcie — rzekł Niemiec — Krieg ist Krieg. Mój dom też przestał istnieć, a był piękny, przy głównej alei w Monachium, zbornikowali go Amerykanie. Lepiej więc stąd, za piętnaście minut będzie piękno, będziemy bronić się nad Dokończenie na str. 2



Barwne metafory, określające Japonię (Nippon) mianem Kraju Wschodzącego Słońca lub Krajem Kwitnącej Wiśni, ustępują ugruntowującemu się w świecie rzeczowemu przekonaniu, że Japonia drugiej połowy XX wieku, to przede wszystkim kraj dynamicznego rozwoju gospodarczego i wysoko postawionej techniki. W istocie rzeczy Japonia wciąż jeszcze pozostaje dla nas państwem, którego całkowicie odrębne, specyficzne problemy, oczekują bliższego poznania.

Japonia jest krainą pięknej a zarazem groźnej przyrody, raczej ubogą w bogactwa naturalne, niewiele mającą terenów nadających się pod uprawę. Niezmiernie interesujący naród japoński, zamieszkuje cztery wielkie wyspy i ponad pół tysiąca małych, rozciągających się 3400-kilometrowym łukiem z północy na południe, naszpikowanych czynnymi wulkanami.

Pracowitość Japończyków, ich umiejętności organizacyjne i patriotyzm, umożliwiły w okresie powojennym zdźwignięcie kraju do grupy najbardziej rozwijających się i rozwiniętych państw świata. Pięta miejsce pod względem wielkości dochodu narodowego, trzecie

Wiesław Porzycki

Nippon przed wyborami

miejsce w świecie w produkcji stali (ok. 48 mln. t rocznie), pierwsze miejsce przemysłu stocznioowego (4 mln t wodowanych statków rocznie), piąty, co do wielkości, tonaż floty, drugie (niedawno prym przejął Peru) miejsce w połowach ryb, drugie miejsce w produkcji tworzyw sztucznych i syntetycznych włókien, trzecie — w produkcji samochodów (2,2 mln rocznie, przed wojną w Japonii samochodów nie wytwarzano), najszybsze na świecie pociągi, pierwsze na świecie podmorskie tunele...

Wymowa wskaźników jest jednoznaczna: Japonia sięga po czołowe miejsce pośród w soko rozwiniętych państw kapitalistycznych. Ale — jak to (12 bm.) stwierdził Jacek Grosz kiewicz na łamach „Trybuny Ludu” — tym bardziej rażąco przedstawia się dysproporcja pomiędzy japońskimi osiągnięciami w technice i produkcji, a jej społecznym zacofaniem, anachronicznymi stosunkami socjalnymi. I dlatego obraz

współczesnej Japonii, oparty wyłącznie na wskaźnikach rozwoju gospodarczego, byłby po prostu fałszywy.

Najbardziej palącym zagadnieniem społecznym, o który toczy się walka polityczna na wyspach japońskich, jest właśnie kwestia wyrównania wspomnianych dysproporcji. Ujmując rzecz lapidarnie, można by stwierdzić, że przemysł japoński dlatego pracuje tanio i dlatego może skutecznie konkurować swymi towarami na rynkach świata, właśnie dlatego, ponieważ przy szybko wrażliwej wydajności pracy, płace robotników pozostają na niskim poziomie, a właściciele fabryk zupełnie się nie przejmują nakładami na cele socjalne.

I oto w wysoko uprzedmiotwionej Japonii mamy równocześnie zjawisko chronicznego niedożywienia znacznej części ludności, nie istnieje określone ustawowo minimum płac, niesłychanie ograniczone są prawa pracujących do urlopów, niemal 5 milionów oby-

wateli jest zatrudnionych tylko częściowo (bezrobotnych ma Japonia około 500.000), nie obowiązują także w tym kraju szereg przywilejów z konwencji Międzynarodowego Biura Pracy, jako że Japonia konwencji tych nie ratyfikowała. Na tle tak ukształtowanych stosunków gospodarczych i społecznych, wyraziście rysuje się obraz kampanii przedwyborczej, związanej z wyznaczonym na 29 stycznia głosowaniem: w dniu tym 102-milionowy naród japoński wybierze 467 deputowanych do Izby Posłów (izba wyższa nosi miano Izby Radców i liczy 250 członków).

Japonia pozostaje cesarstwem — Hirohito piastuje tę godność od czterdziestu lat — przy czym okres powojenny dwudziestolecia stoi pod znakiem rządów Partii Liberalno-Demokratycznej (PLD). Partia ta, o zdecydowanie prawicowym zabarwieniu, ma na swym koncie niezaprzeczalne zasługi w zakresie rozwoju gospodarczego kraju. Zarazem

PLD właśnie, reprezentując interesy wielkiego kapitału, sprzęgnięta z kapitałem amerykańskim hamuje szybszy postęp przemian społecznych w kraju.

Opozycja to radykalna Socjalistyczna Partia Japonii, Partia Socjaldemokratyczna, działająca dopiero od 1955 roku legalnie, komunistki oraz buddyjskie ugrupowanie Ko-meito, czyli „Partia na rzecz uczciwych rządów”. Opozycja ruszyła do przedwyborczej batalii, uzbrojona w ważne argumenty, dotyczące polityki wewnętrznej i zagranicznej rządu Eisaku Sato. Główne kierunki krytyki: dotychczasowy gabinet kierował nieudolnie gospodarką, a ponadto tolerował w łonie administracji korupcyjne afery.

W istocie, w roku 1965 rządząca PLD nie zdobyła w Tokio — w czasie częściowych wyborów do Izby Radców — ani jednego mandatu, a w tokijskiej radzie miejskiej, gdzie tradycyjnie posiadała większość, utraciła połowę manda-

tów. Były to reperkusje afery korupcyjnej, obejmującej swym zasięgiem 17 reprezentantów PLD.

Opozycja domaga się także programu reform społecznych i programu socjalnego.

W dziedzinie polityki zagranicznej krytyka działalności gabinetu Sato dotyczy przede wszystkim bezkrytycznego akceptowania linii politycznej Waszyngtonu; PLD-owski rząd japoński nie tylko nie realizuje — jak tego domaga się lewica — neutralnej polityki za granicą, lecz udzielił poparcia agresji amerykańskiej w Wietnamie.

Wielkie miasta japońskie żyją w tej chwili przedwyborczą kampanią. Rządząca PLD oraz lewicowe partie opozycyjne prowadzą energiczną walkę o pozyskanie wyborców. Najprawdopodobniej partia Sato, której aktualny premier jest równocześnie przewodniczącym, zdoła utrzymać posiadaną dotychczas absolutną większość w obu izbach Zgromadzenia Narodowego. Niemniej niemal pewne wydaje się i to, że prawicowa polityka liberalnych demokratów przestała się cieszyć takim zaufaniem, jakim darzona ją niegdyś.

Powieść o straconym czasie

Akcja nowej powieści Andrzeja Żeylanda usytuowana jest w Gańcy w Wielkopolsce; częściowo w Poznaniu, epizodycznie na wsi wielkopolskiej. Książka ma charakter biograficzny. Pokazuje na przykładzie biografii, czy może tylko zbeletryzowanego życiorysu głównego bohatera, proces mieszczanienia młodego inteligenta, jego zatracania się, stabilizowania się na poziomie przeciętnej starej mieszczańskiej rodziny. Właściwie jest to więc powieść o przegranej, o zmarnowanej szansie, o niedanym buncie młodego inteligenta. Sens powieści i ocena autorska postępowania bohatera zawarta jest w tytule powieści: „Czas przeszedł obok”. Jest to właśnie książka o tym czasie, o straconych latach jej bohatera, o cenie, którą on płaci za szybką stabilizację życiową, za niezdolność do buntu, do odnowy. Ale jest to również powieść o środowisku, które ten bunt amortyzuje, które wciąga jednostkę, spłyca, obezwłasnowolnia.

Książka Żeylanda daje pewien obraz życia środowiska niewielkiego miasta wielkopolskiego, dokładniej Gniezna sprzed kilkunastu lat. Obraz ten nie jest literacko błyskotliwy, ale dość wierny, w części chyba przy najmniej prawdziwy. Historia młodego Witka Pawlickiego opowiedziana jest językiem książek tzw. „małego realizmu”, drobnych obserwacji cząstkowych, kolorytu lokalnego i leciutkiego tylko pamfletu obyczajowego. Jej pierwowzorem literackim jest chyba „Silaczka”, ciągle zresztą sprawa tej książki i w ogóle Żeromskiego przewija się na kartach powieści. Z tym tylko oczywiście, że sytuacja jest tu całkowicie odwrócona. Jej bohater nie decyduje się na służbę w większej sprawie, zawodzi, ulega, w jakimś stopniu przegrywa.

Książkę czyta się zwłaszcza na początku, to dość mierny zainteresowaniem. Sytuacje są znane, wątek fabularny dość wyeksploatowany, prosty, banalny, stylizacja samej powieści nieco wtórna, mało oryginalna. Kiedy jednak zamyka się książkę, narasta w czytelniku przeświadczenie, że dała mu ona pewien obraz procesu, który istniał, nie został wymyślony. I wtedy wiele spraw rysuje mu się inaczej. Dostrzega zamiar autora, który decyduje się na pamflet obyczajowy wymierzony po części przynajmniej w pewien typ współczesnego mieszczanina, zdobywa się na dystans i obiektywizację. Dostrzega też podskórnie tkwiącą w powieści osnowę moralitetową. Jest w niej coś z mądrej, dydaktycznej przestrogi, ale jest w niej, niestety, też wiele jeszcze z taniej publicystyki obyczajowej. I to chyba trzeba mieć na uwadze czytając powieść i śledząc losy jej różnych bohaterów, tych co wygrali i tych którym „czas przeszedł obok”.

OLGIERD BŁAŻEWICZ

Andrzej Żeyland „Czas przeszedł obok”. Powieść o tematyce współczesnej. Wydawnictwo Poznańskie 1966 r.

ŚLADAMI FARAONÓW

W prasie światowej ukazały się informacje o tym, że w Muzeum Egipskiego w Kairze, z zachowaniem największych środków ostrożności, przesłano do Paryża jeden z najcenniejszych zabytków archeologicznych — beczenną złotą maskę faraona Tut-ench-Amóna. W związku z tym wydarzeniem, warto przypomnieć o odkryciu grobu tego faraona w 1922 roku i o znalezieniu m.in. maski. Stanowiło to jedną z najgłośniejszych sensacji egiptologicznych.

*

Lord Carnarvon nie był archeologiem. Względem zdrowotne sprawy, ile osiedlił się w Egipcie i, będąc amatorem sztuki starożytnego Egiptu, zainteresował się również archeologicznymi poszukiwaniami. W tym celu związał się z doświadczonym badaczem, Howardem Carterem i obaj przez szesnaście lat ściśle ze sobą współpracowali. Jednym z zasadniczych celów, jakie sobie postavili, było odnalezienie grobu faraona Tut-ench-Amóna, którego poszukiwali w tzw. Dolinie Królów, gdzie ongiś mieściło się królewskie cmentarzysko. Rozpoczęli prowadzić prace wykopaliskowe w centrum Doliny i uparcie prowadzili je od 1917 do 1922 roku, badając każdy skrawek gruntu.

W listopadzie 1922 roku Howard Carter rozpoczął prace na niewielkim, dziewięćmetrowym schronisku, którego w tym rejonie dotychczas nie tknęli. Teraz sprawa potoczyła się w zawrotnym tempie. Natrafił na wejście do grobu, do którego prowadziło w głąb krypty dwanaście stopni, kończących się ślepo zablockowanym otworem wejściowym. Ale lojalny wobec towarzysza, badacz, nie chciał kontynuować pracy pod nieobecność przebywającego w Anglii lorda Carnarvon i wezwał go telefonicznie.

W dwa tygodnie później, zaalarmowany badacz, już na miejscu. Ponownie odkopano wejście. Znaki wskazywały, że złośliwiec grobów niegdyś odkrył już tę kryptę i usiłował okraść ostatnie miejsce spoczynku faraona. Jednakże musiała ich schwytać straż pilnująca Doliny Królów. Co ostatecznie z kamieniami drzwiami?

Badacze wyważyli blokującą płytę, za którą znajdował się przedsionek, wypełniony kamieniami. Oczywiście przejście stanęło przed drugą kamienną bramą.

To, co zobaczyli za nią, stanowiło jedno z najbogatszych i najcenniejszych odkryć archeologicznych. Wewnątrz grobu znajdowały się pościelane leżanki, inkrustowane skrzynie, wazy, łożka, krzesła, rydwan oraz wykładany złotem tron Tut-ench-Amóna. Trumny nie było!

Przez kilka miesięcy obaj badacze opracowywali inwentarz królewskiego bezcennego magazynu, w którym zgromadzone było wszystko, czego władca mógł potrzebować w swoim królewskim życiu pozagrobowym. Dokonawszy tego dzieła sforsowali drzwi, ukryte poza dwoma statkami. Przed nimi odsłonił się grób wypełniony złotem, skarbiec, z którego droga przez niziutkie drzwi wiodła do następnego pomieszczenia, w którym ujrzała statuety i szkatuły, ołtarzyki i cacka tak piękne i tak świeżo zachowane jak gdyby złożono je tam przed kilkoma dniami, a nie 3500 lat temu!

Ciało faraona spoczywało w czterech skrzyniach: złożonych jedna w drugiej. Pierwsza trumna wyrzeźbiona była z kwarcytowego bloku, wewnątrz niej spoczywała spowita w płótno druga trumna o kształtach młodego króla — znajdująca się wewnątrz niej trzecia trumna była niezwykle ciężka.

Mumia królewska, spoczywająca wewnątrz, obłożona była klejnotami i kosztownościami, na twarzy miała wspinała maskę, na głowie diadem, wszystko z kutego złota. Na szyi Tut-ench-Amóna — gdyż był to jego szczątek — znajdował się przepiękny naszyjnik, a pierś osłonięta była złotymi blachami. Na nogach władca miał złote sandały, a zęby i paznokcie okryte były złotymi ochraniaczami. Ramiona przyozdobione były bransoletami ze złota i srebra inkrustowanego szlachetnymi kamieniami. Łącznie przy mumii królewskiej znaleziono 143 kosztowne obiekty. Ale wartość zabytkowa i naukowa znaleziska przekraczała jego wartość pieniężną, która była praktycznie nieprzeliczalna.

I oto teraz, jeden z najcenniejszych artystycznych obiektów z tego grobu — maska Tut-ench-Amóna, ubezpieczona na fantastyczną sumę pieniędzy, otoczona opieką policji i detektywów, z zachowaniem nadzwyczajnych środków ostrożności — z Kairu specjalnym samolotem przewieziona została na wystawę do Paryża.

Nawiasem powiedzieć wypada, iż lord Carnarvon nigdy tej maski nie widział, umarł bowiem przed tym na niezidentyfikowaną chorobę, a legenda powiada, iż była to zemsta faraona z za grobu za to, że naruszył wieczny spokój Tut-ench-Amóna.

J. Ro.

Pamiętniki, biografie, szkice i eseje obyczajowe, wspomnienia wreszcie — to rodzaj pisarski, który znajduje coraz większe wzięcie u czytelników. Jest to jak gdyby ucieczka od fikcji, pogoń za prawdą realną. I to chyba nie przypadek, jak i nie wyjątek pośród wydawnictw, że gdy przeglądam ostatnie pozycje PIWu, znajduję tam sporą ilość pozycji z zakresu wyżej wymienionego. Warto się przyjrzeć ciekawszemu z nich bliżej, poczynając od spraw polskich.

W bardzo poszukiwanej i mającej estymę pośród odbiorców serii „Ludzie żywi” znajdujemy „Stanisława Staszica”, interesującą monografię pióra Barbary Szackiej. Autorka nie miała zadania łatwego. O ile znane są powszechnie zasługi Staszica jako oddanego bez reszty sprawie publicznej, wielkiej klasy naukowej.

Eugeniusz Pauksta

Ludzie i czasy

ca i działacza, o tyle w mroku pozostają sprawy jego osobistego życia. Raz, że sam ich nie lubił ujawniać, skromny nad wyraz, dwa, że zrosła z nim legenda pokrywała drobniaki pyłem zapomnienia. A jednak Szacka, stawiając sobie zresztą za cel ukazanie „jak świat wyglądał w oczach Staszica, a Staszic w oczach świata”, wydobyla z wszelkich dostępnych źródeł wszystko chyba i o Staszicu jako o człowieku, żywym, czującym, nie tylko z zaletami ale i przywarami.

Monika Warneńska, niezmordowana tropicielka życiowych śladów pisarskich, tym razem w tomie „Mazowieckie ścieżki pisarzy”, zajęła się tymi, których czy urodzenie czy twórczość spłótła się mocno z Mazowszem. W żywy, interesujący, czasem poprzez niektóre mało znane szczegóły aż w zaskakujący sposób ukazała Warneńska sylwetki Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Krasińskiego, Sienkiewicza, Kopnickiej, Gomulickiego i wielu innych, aż po Staffa, Nalkowską, Tuwima i Głaczyskiego, Gojacyńskiego i Broniewskiego. Książka i czytelniczo i poznawczo bardzo potrzebna.

Inny cel postawił przed sobą Leon Przemski w tomie „Fin de Siècle po polsku”. Tego pełnego

erudycji i dociekliwości szperacza zainteresowały stosunki polityczne, kulturalne i obyczajowe na przełomie XIX i XX stulecia. W pisanych w gawędziarski sposób esejach dotknął całej masy problemów, wyszperał multum ciekawostek, w tym i wiele związanych z Poznaniem.

Kapitałnym, na swój sposób na pewno unikalnym tomem będą wspomnienia Włodzimierza Bartoszewicza, znanego artysty-malarza, po wojnie na stałe osiadłego w Poznaniu. W swej książce „Buda na Powiślu” Bartoszewicz ukazuje Warszawską Akademię Sztuk Pięknych w latach 1922 do 1939, a nawet zagląda lekko i w czas powojenny. Spod lekkiego, zręcznego pióra odzywa nie tylko uczelnia, ale i wywodzące się z jej uczniów grupy artystyczne, takie jak „Bractwo św. Łukasza” czy „Szkoła Warszawska”, kapitalnymi często portretami ja-

wią się sylwetki wybitnych plastyków, z których wielu należy dziś, jak np. Kulisiński, Cybis, Uniechowski i inni, do ścisłej czołówki.

Z przekładowych pozycji na pierwszy plan wysunę opowieść biograficzną André Billy'ego „Bracia Goncourt”. Obaj oni, Edmund i Juliusz, to postacie nieomal legendarne wraz z ich „Dziennikami”, kapitalnym zapisem epoki i z Akademią Goncourtów, przechowującą wiernie pamięć ich imienia. Bliższy wszystkim, co miało związek z artystycznym, z nauką, wprowadzeni od środka w cały ówczesny świat francuski, sami też, poprzez osobliwość bycia, stanowią niezwykle, pasujące zresztą do swojej epoki zjawisko. Opowieść Billy'ego, choć miejscami aż przeładowana dokumentacją, czyta się jednak żywo, ucząc się i bawiąc przy tej lekturze naprzemiennie.

I jeszcze jedna dobra wiadomość na zakończenie. Oto ukazało się w pięknej szacie trzecie wydanie tak bardzo cenniejszego, czytelnego „Dziennika Samuela Pepysa”, w przekładzie Marii Dąbrowskiej.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Oczekiwanie

Dokończenie ze str. 1

tą rzeką, zaraz zacznie strzelać nasza artyleria.

— Chodźmy stąd, szkoda czasu.

— Idź.

— On ma rację, jesteś uparta i pozbawiona rozumu. Chodź.

Nagle ktoś krzyknął ostro:

— Sowieten sind da! Feuer! Wiecej światła.

Światło latarki padło na drzwi, potem na okno domu. Oślepiło Parylaka i zatrzymało go w miejscu.

— Nie ruszać się!

Z ciemności dobiegł krzyk:

— W mieście są partyzanci. On jest też bandyta.

Parylak patrzył w światło latarki oszołomiony. Z mroku wynurzył się krepki, ciężki podoficer niemieckiej policji polowej. W ręce trzymał automat. Błysk latarki wpadł nagle w ziemie. Parylak bez słowa skoczył na policjanta i zamierzył się siekierą. Niemiec nawet nie poruszył się, aby uniknąć ciosu. Ciężkie żelazo ugodziło go z boku w czaszkę, rozległ się głuchy trzask pękającej kości i policjant zwałił się po schodach w dół — w mrok nocy.

W chwilę potem Parylak biegł już co sił wśród akacji, schyłony do ziemi. Za sobą słyszał wystrzały pistoletu. Skręcił gwałtownie w lewo, przebiegł ulicę, wpadł za studnię i zamarł w bezruchu. Kroki zbiegającego ze skarp oficera niemieckiego były coraz bliżej, światło latarki sunęło rowem pod nasypem kolejowym. Parylak wdrapał się na beto-

nowy mur, przeskoczył płot, po chwili był już w ogrodzie. Leżał płakiem bez ruchu. Po pewnym czasie przyczołgał się nad brzeg muru, w miejsce, gdzie była furtka, patrzył w maleńką sylwetkę naszego domu, obserwując, jak pociski zsuwały się w dół z nieba i znikwały między zabudowaniami Niebieszcza. Co pewien czas słyszał kroki biegnących żołnierzy.

W końcu gdzieś bardzo blisko zapaliły koguty i powoli nad wzgórzami zaczęło się rozjaśniać. Parylak ścisnął jeszcze mocniej obrzmiałą, zakrwawioną szyję końcami palców, poruszył się, jęknął i wymamrotał coś jeszcze przez sen. Po tym jego wstrząśnięciu dreszczem — wstał wreszcie spokojny świt.

W szarym półmroku zerwała się nagle z przyzby moja matka. Miała obrzękłą od znużenia twarz, przez

dłuższą chwilę patrzyła na dolinę, profil jej odcinał się wyraźnie na tle pobielonej ściany. Smuga słońca wyszła zza drzew akacji i przylgnęła do zmiażdżonej głowy Niemca. Matka zdjęła z ramion pled i przykryła nim zabitego, weszła do kuchni i roznieciła ogień, nastawiła garnek kawy.

— Parylak to jest dobry człowiek.

Ale zasłoniła oczy dłonią, bo widziała ciągle, jak na podwórzu leżał Niemiec z rozstraskaną głową, zalaną krwią.

— Jezu! Jezu!

Z ulicy dobiegł warkot jadących wolno w stronę rynku — czołgów. Matka podeszła do okna i wyjrzała. Po chwili wróciła do pieca i mieszała gotującą się kawę.

— Trzeba, żeby Parylak napił się gorącej kawy.



DYSKUSJA O FILMIE POLSKIM

W najnowszym wydaniu „Kultury” zajmuje ona sporo miejsca. Głos zabierają K. T. Toeplitz w artykule pt. „Trzech ale bez dwóch” i Jerzy Putrament w artykule „Upadek cesarstwa (polskiego filmu)”. Ten drugi nie bez nutki ironii pisze:

„Rozpętała się kolejna burza w szklaneczkach gazetowej wody, czyli dyskusja o upadku filmu polskiego. Naród nasz, w czasach pokoju skłócony, w momentach szczególnego niebezpieczeństwa wykazuje cuda odwagi i jedności. Widać, niebezpieczeństwo jest ogromne, bo wszyscy znaleźli się w jednym szeregu atakujących film, wszyscy, prawica, lewica, centrum, polscy gauliści i polscy niezależni. Atakują wszyscy, żeby więc się nie pogubił, każdy wynajduje inną przyczynę tego upadku”.

Prócz pretensji do Komisji Oceny Scenariuszy, Putrament także

wyraża pewne uwagi pod adresem krytyki.

„Jednym z fenomenów sytuacji filmu w Polsce jest żadna rola tej krytyki. To jest, owszem, może ona grać na nerwach reżysera, albo na odwrot, przewracać im w głowach. Natomiast w najważniejszym, w pośrednictwie między filmem i widzami, krytyka ta w ogóle jest mgielką (...). Są filmy chwalone, na które ludzie chodzą, są zachwalane, na które nie chodzą. Są ganiące, które leżą martwym bykiem i są ganiące, na które nie można się docisnąć.”

J. Putrament dopatruje się w filmie polskim szeregu słabości ale przestrzega przed ferowaniem wyroków o upadku, ba, dopatruje się nawet jakiejś atmosfery nagonki. Jego zdaniem, nie jest tak źle.

JARMARK FORM

Z ciekawą i kontrowersyjną wystawą prac Władysława Hasiora w galerii BWA w Poznaniu zbiegł się opublikowany przez „Politykę” interesujący wywiad z tym plastykiem przeprowadzony przez Krystynę Nastulanę. Oto fragment wypowiedzi, o której prawdziwości możemy się przekonać oglądając poznańską wystawę.

„...ja się nie wstydzę, że walcząc o zainteresowanie widza, staram się zwiększać skalę atrakcyjności. I cieszę mnie,

jeśli nie ograniczy się on do przeczytania tytułu rzeźby, jeśli zatrzyma go ten mały sens i coś mu opowie. Kiedy podpalam jedną ze swoich rzeźb, jest to także forma adoracji widzów (...). Jeśli każdemu z widzów każę zapalać, zamykać, nawiązując w ten sposób do zwykłego otwierania tryptyku ołtarzowego z okazji wielkich świąt. Był to rodzaj kulminacji radości artystycznej”.

CZEGO SZUKA KLIENT!

Pisze na ten temat w „Życiu Gospodarczym” Antoni Gutowski w artykule pt. „Tysiąc i jeden kłopotów”. Tytuł jest parafrazą popularnej w handlu nazwy „1001 drobiazgów”. Na rynku drobiazgów obserwujemy pewien postęp, ale mimo to wciąż trudno zrozumieć brak gwoździ, kłamek, latarek płaskich itp. Oddajemy do użytku nowe wielkie obiekty przemysłowe a w dziedzinie „drobiazgów” niewiele się zmienia na lepsze. Poza tym ich jakość pozostawia dużo do życzenia. Handel też nie jest bez winy:

„Dlatego handel nie organizuje w sklepach pokazu użytkowania różnego sprzętu gospodarstwa domowego? Dlaczego tak skąpa jest informacja w tym zakresie przy poszczególnych artykułach, jak i w samych sklepach? Dlaczego „1001 drobiazgów” sprzedaje się tylko w 120 sklepach i 223 wyodrębnionych stoiskach?”

Autor uważa, że zaopatrzenie zależy też od presji handlu na hurt

i pośrednio na przemysł. A ponieważ przemysł także nie lubi „drobiazgów”, więc kółko się zamyka. Jednak w którymś miejscu należy je przerwać.

PRZECIW KOLEJKOM W SKLEPACH

To tytuł artykułu Tadeusza Przyłuskiego w „Tygodniku Demokratycznym”. Autor również omawia sprawę handlu.

„Ostatni okres przyniósł niewątpliwą poprawę zaopatrzenia rynku w artykuły konsumpcyjne — stwierdza autor artykułu na wstępie. I dalej pisze — Wydaje się jednak, że główną przyczyną nienadania handlu detalicznego za spójnym zapotrzebowaniem jest zbyt wolny rozwój tego handlu jak i zbyt małe wykorzystanie istniejącej już sieci (...). Aktualna sieć upośledzonego handlu detalicznego i gastronomii nie jest wystarczająca; szczególnie niski jest wskaźnik liczby miejsc w zakładach gastronomicznych. Wynosi on zaledwie 22 miejsca na 1000 mieszkańców”.

Autor poleca uważnie inwestorów problem równomiernego budowania nowych lokali handlowych z nowymi domami mieszkalnymi.

„Obrót towarowy (...) ma też wpływ na sposób wykorzystywania przez ludność czasu wolnego od pracy. W świetle tym wzrasta waga

problemu wykorzystania wszystkich środków, mających na celu poprawę istniejącej sytuacji w tym zakresie”.

★

Poza tym zwracamy uwagę na kilka innych pozycji: „Wietnam przez pryzmat USA” Michała Kaleckiego i wywiad z Jerzym Albrechtem pt. „Nie wymagamy nieomylności” na temat publicystyki ekonomicznej w „Polityce”; Andrzej Brychta repozycja z NRF pt. „Raport z Monachium”, fragment pierwszego odcinka „Śmierci Prezydenta” Williama Manchastera i felieton Hamiltona „Perswazje” poświęcony pamięci Zbigniewa Cybulskiego w „Kulturze”; artykuł Stanisława Dobosiewicza pt. „Szkoła zawodowa przed reformą” w „Głosie Nauczycielskim”; Stanisława Paluchowskiego „Stosunki polsko-węgierskie — trzeba iść dalej” oraz rozmowa z ministrem finansów Jerzym Albrechtem pt. „Finanse i plan 5-letni” która nasświetla problemy związane z gromadzeniem i podziałem środków finansowych w latach 1966—1970 w „Życiu Gospodarczym”. Kończymy nasz przegląd prasą hasłem tygodnia ze „Szpilek”: „Mów mądrze, bo stracisz wariackie papiery!”

LEKTOR